Rok VI. 22 Lipca 1934. Nr. 30

DZWONECZEK

Pokłońcie się...

Od czasu odkrycia, jakiego dokonał Kopernik, udowodniwszy, że to nie słońce kręci się dokoła nas, jak sobie przed nim ludzie zawsze wyobrażali, lecz przeciwnie, że to właśnie my na swojej ziemi, podobnie jak wszystkie przez nas widziane gwiazdy, krążymy wieczyście dokoła słońca, — nie było w dziejach nauki większego zdarzenia nad odkrycie radu. Nie trzeba koniecznie być astronomem i znać dokładnie naukę o gwiazdach, by mniejwięcej zrozumieć dzieło Mikołaja Kopernika. Ale jeżeli się nie zna dostatecznie nauk przyrodniczych, a zwłaszcza chemji, trudno zdać sobie sprawę, czem dla ludzkości zbawienne odkrycie radu stało się w nauce i jakie przed uczonymi badaczami przyrody otwarło nowe widnokręgi. Każdy jednak wiedzieć musi, że świat ma do zawdzięczenia to wiekopomne radu odkrycie Marji Skłodowskiej-Curie, która w tych dniach umarła we Francji.

Widzimy tedy, że dwa tak wielkie odkrycia naukowe były dziełem uczonych polskich. Tak jest, jak Kopernik, którym naród nasz słusznie chlubi się, odkrywczyni radu i polonu była Polką. To drugie nazwisko nosiła po mężu Francuzie, równie sławnym chemiku, z którym wspólnie pracując w Paryżu, dokonała przewrotu w nauce, ale przez całe życie zawsze światu przypominała, że jest Polką. Przed jej trumną chylą czoła ze czcią i z żalem szczerym uczeni wszystkich narodów świata, wołając, że była tak wielkim genjuszem naukowym, jakiego nie znano od czasu Kopernika. Polska może być z tego dumną. Ale młodzież polska powinna poznać nietylko dzieło, jakiego dokonała, a więc starać się zrozumieć jej odkrycie, lecz także zaznajomić się bliżej z jej życiem, pełnem pracy i poświęceń, które do wyżyn sławy szło po drodze ciernistej długotrwałego zmagania się z przeciwnościami.

Jedno, co charakteryzuje tę najsławniejszą Polkę i największą kobietę, to skromność pokorna, jakiej się nie spotyka w życiu, a która winna się stać po wszystek czas wzorem.

Pokłońcie się, dzieci polskiej ziemi, przed odchodzącym w wieczność duchem Marji Skłodowskiej-Curie, bo on światu pysznych zarozumialców tak świeci pięknem przedziwnej skromności, jak ów tajemniczy rad, przez nią odkryty, promieniujący niewidzialnem światłem moce zbawienne, uzdrawiające nieuleczalnych...

Przylecieli!

Wszyscy chłopcy w Polsce fabrykujący sobie z uporem wszelkiego rodzaju latawce i nowych samolotów modele, wyczekiwali z ciekawością wiadomości, czy bracia Adamowicze przelecą ocean Atlantycki. Ale kiedy już się wieść o tem rozniosła, że śladem Lindberga udało się tym dwu Polakom zdobyć północny Atlantyk, który takie mnóstwo pochłonął ofiar między śmiałymi lotnikami, chłopcy przez dni kilka o niczem innem nie mówią, a najbardziej się dziwią, że ci Adamowicze, to wcale nie „asy“ lotnictwa, nie zawodowi piloci, tylko... poprostu fabrykanci wody sodowej.

Kilkanaście lat temu opuścili swoje strony rodzinne w okolicach Wilna, wsiedli na okręt obcy, bo w tych czasach jeszcze nie było polskich statków na oceanach świata, i za Atlantyk wybrali się, by w Ameryce dorobić się grosza. Obaj chłopcy pracowici, uskładali sobie z ciężkiej pracy trochę dolarów i zaczęli myśleć o powrocie do Polski. Ale wśród tego sławne się stały próby odważnych przelotów nad Atlantykiem — i to dało im myśl, czyby nie odłożyć zobaczenia rodzinnego kraju do chwili, gdy sobie zbudują własny aeroplan i nim polecą prosto do Warszawy...

Zaczęli latać i składać na to pieniądze, aż zdobyli własny latawiec. Pocichu wylecieli — i zaraz wypadek rozbił im aeroplan. Innych byłoby to zniechęciło. Adamowiczów podnieciło do dalszych starań. Ostatnie pieniądze swoje w to włożyli, by zdobyć nową maszynę. Mieli już mało co dolarów, gdy ponownie z Ameryki wylecieli na aeroplanie z napisem angielskim „Miasto Warszawa". Lecieli przez mgłę, lecieli w burze straszne i nie widzieli nic, gdzie są — ale ocean przelecieli. Wpadli do Francji, potem do Niemiec. Coś się zepsuło, benzyny zabrakło, wydali na to ostatnie dolary Z kilkoma groszami w kieszeni przylecieli do Polski.

Nie macie pojęcia co się działo w Warszawie, gdy 2-go lipca wylądowali na lotnisku, gdzie ich czekał tłum kilkunastotysięczny. Wszyscy się ku nim rzucili z radością niepohamowaną na powitanie. Ale kiedy się nareszcie znaleźli w aucie, które ich miało przez całe miasto wieźć na Ratusz na uroczystości powitalne, otoczyli ich chłopcy, garstka zuchów-harcerzyków, ale najwięcej takich, co gazety na ulicach sprzedają. Ci prawie obsiedli auto i gromadą wkoło niego biegli bez przerwy całemi kilometrami, krzycząc całą drogę radośnie .

I po całem mieście rozbiegli się potem i dalejże opowiadać ludziom jak to oni blizko byli tych sławnych lotników amerykańskich, co lotnikami nie są, tylko takie proste polskie chłopy, uśmiechnięte dobrodusznie do dziec ulicy. . A między nimi ten i ów marzy sobie: może ja też kiedy tak potrafię..

ZA KRZYŻEM

(Ciąg dalszy).

Dobrochna i Ludomir wspięli się, jak tylko mogli najwyżej na palce, by dojrzeć co skrzynia zawiera Długowłosy starzec podnosił właśnie powoli ciężkie wieko, a gdy je zupełnie odchylił, przed oczyma dzieci aż zajaśniało od blasku złota. Całe wnętrze skrzyni wypełniały drogocenne naczynia kościelne, jakie poganie zrabowali ze świątyń polskich, a głównie z kościoła i klasztoru Benedyktynów na Łysej Górze w okolicy Sandomierza. Leżały tam bezwładnie złote i srebrne kielichy, używane przy mszy świętej, monstrancje mieniące się od złotych kamieni i puszki na przechowywanie hostji, rozmaite ofiary i wota, jakie powszechnie zawieszano po kościołach w podzięce Bogu za otrzymane dobrodziejstwa.

Kapłan pogański długo przebierał w skarbach, aż wkońcu z samego dna skrzyni wydobył ciemny krzyż. W jego ramionach tkwiły w srebro oprawne, najświętsze dla chrześcijan relikwie Krzyża świętego, na którym umarł rozpięty Zbawiciel świata. Drżącemi rękami podniósł krzyż w górę,. a z ust jego padały dziwne słowa, których dzieci zrozumieć nie mogły. Tłum pogan stał jak oniemiały przed starcem, który trzymając w dłoniach tajemny znak wiary owych pędzonych teraz, niby bydło, w niewolę jeńców chrześcijańskich, oznajmiał swemu ludowi, że widocznie wielki Bóg Lachów nie chce, by Go

wywożono z Polski i że należy uszanować jego wolę, bo gotów zemścić się na Litwinach. Nie przeczuwali jeszcze, że niedaleka była chwila, kiedy to święte znamię prawdziwej wiary miało rozproszyć nareszcie mroki ich pogaństwa.

Wkońcu skrzynię zamknięto i złożono na innym wozie, Krzyż zaś jak go Litwini nazywali „lacki“, który na samej granicy Litwy wstrzymał olbrzymi pochód, złożono na tymsamym wozie, gdzie przedtem spoczywał w skrzyni. Zaprzągnięto z powrotem woły i po chwili, nieporuszony dotychczas wóz, ruszył z miejsca. Zwierzęta, przez nikogo nie kierowane, skręciły w powrotną drogę do Polski, gdy tłum zdumiony niepojętym cudem, pociągnął dalej naprzód, czując się już bezpiecznym w swych granicach.

Gdy w oddali znikły zupełnie w zapadającym mroku białe woły, ciągnące święty znak, łzy gorące żalu skropiły dzieciom pobladłe policzki. W duszy jednak poczuły dziwną ulgę. Czyż bowiem ten Krzyż, którego ulękły się tysiączne zgraje pogan, nie jest również dość mocny, by obronić od złego dwoje sierot, gdy zbrakło nad niemi opieki rodziców? Dzieci zsunęły się cicho z powrotem na miękką słomę, szepcząc do siebie:

— Żeby tak wszyscy nasi bracia, pędzeni tam w niewolę, wierzyć umieli, jak my, w moc tego Krzyża!

(*Ciąg dalszy nastąpi*). *Ela Oleska.*

Lekceważony wróg człowieka.

W porze letniej, zwłaszcza podczas upałów, gdy przez otwarte okna mają wstęp do mieszkań ludzkich najrozmaitsze owady, warto sobie przypomnieć, jakie grozi nam od nich niebezpieczeństwo. Niechybnie największe zagraża nam właśnie od tych, na które zazwyczaj najmniej zwracamy uwagi. Każdy troskliwiej opędza się komarom, nie zważając prawie wcale na muchę. Tymczasem ta właśnie najzwyklejsza mucha domowa jest największym naszym wrogiem i lekceważenie sobie tego nieprzyjaciela nieprzeczuwanego przez większość ludzi skutkiem nieuświadomienia, jest tem większem niebezpieczeństwem, przed którem należy ostrzec młodzież, by ta w ciągu wakacyj starała się szerzyć o tem wiadomości po wsiach wśród ludu, gdzie nikt o tem nie wie. Otóż mucha lęgnie się i najchętniej przebywa nie tam gdzie czysto, tylko tam, gdzie brud, gdzie zgnilizna — i nią właśnie przeważnie się żywi. Przecież gdziekolwiek znajdzie się padlina, tam już całe roje much wyprawiają swoje uczty nieskończone. Siadają one zresztą wszędzie, więc nie omijają też ludzi pokrytych wstrętnemi i zaraźliwemi wrzodami. Ponieważ zaś ciało i nogi muchy powleczone są drobniutkiemi włoskami, cóż dziwnego, że do nich przyczepiają się natychmiast niewidzialne gołem okiem, a tylko przez mikroskop dające się dostrzec wyraźnie zarazki chorobotwórcze.

Badania uczonych wykazały, że zarazków takich jedna nieduża mucha zdoła pomieścić na sobie kilka miljonów. Całe szczęście, że już Stwórca tak zrządził, iż w przyrodzie większość bakteryj czyli owych zarazków ginie marnie, bo nie znalazły sobie odpowiedniego do mnożenia się gruntu, lub zostały unicestwione przez inne jakieś mocniejsze od nich, a dobroczynne wpływy. Jednak pamiętać należy, że wystarczy, by jeden jedyny zarazek dostał się na odpowiednie dla siebie podłoże, a już stanie się człowiekowi krzywda nie do powetowania. A nietrudno o to bynajmniej. Objuczona bowiem najwstrętniejszemi zarazkami mucha siada zaraz na twarz naszą czy na jakąkolwiek odkrytą część ciała i trzepiąc skrzydełkami, strąca z siebie owe bakterje, my zaś z powiewem wiatru najlżejszym wciągamy je w przewód oddechowy, w którym właśnie bardzo łatwo znaleźć może grunt odpowiedni, by się rozwinąć i wywołać w ustroju ludzkim ciężką, czasem nieuleczalną już chorobę, o której nigdy wiedzieć się nie będzie, że jej sprawcą stała się ta lekceważona sobie przez ludzi mucha domowa.

Jest jeszcze inny sposób przenoszenia przez muchy zarazy. Jak wiadomo, mucha uzbrojona jest w osobliwy przyrząd do przyjmowania pokarmów. To ssawka, którą grzebie wszędzie, gdzie tylko usiędzie. I na niej osiadają masami wszelkie zarazki. Potem ze ssawki dostają się do żołądka muchy. One jej samej nie szkodzą, ale tam się mnożą szybko.

(*Dokończenie nastąpi*).

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy).

XI.

Oglądałem dziś plantacje orzechów kokosowych. Co to za pożyteczna palma, która rodzi tak duże owoce i tak niezwykle cenne! Niedojrzały owoc zawiera w sobie ciecz przejrzystą prawie jak woda, o miłym smaku słodkokwaskowatym. W miarę dojrzewania orzecha mleczko twardnieje tuż pod skorupą i tworzy się bielmo, czyli tkanka żywiąca, wypełniona wewnątrz resztą płynu, która stanowi pożywienie dla zarodkowego liścienia. Bardzo zajmujące jest kiełkowanie orzecha kokosowego — jak się z pomocą mojego profesora dowiedziałem dziś w plantacji. Zarodek rozrasta się najpierw w mleczku, które żywi go jednocześnie. Gdy mleczko zostało zużyte, a listek zarodkowy rozrósł się i napęczniał tak dalece, że dosięgnął już bielma, wtedy bielmo to staje się żywicielem zarodka. Skoro całe wnętrze orzecha zostało już wypełnione przez liścień, wypuszcza on kiełek, który wchodzi w kiełkowy otwór skorupy. Tu zaczyna się najtrudniejsze zadanie wychodzącego kiełka; musi on bowiem przebić warstwę włókna, miękką wprawdzie, ale nader mocną; toteż upływają miesiące, zanim dokona tej żmudnej pracy. Od tej chwili liścień zaczyna rosnąć dalej i przekształca się powoli w palmę. Za kilka lat (cztery do sześciu) zdolną jest palma do wydawania kwiatów i owoców. W dwudziestym piątym roku osiąga drzewo narwyższy swój rozwój i ta pełnia sił trwa do lat pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, są jednak palmy, które żyją lat sto i więcej.

Poprzedni dyrektor plantacji kokosowych, które dziś oglądałem, był zdania, że zbyt długie pozostawanie owoców na drzewach, to jest, gdy orzechy same opadają, bardzo palmy wysila i dlatego używał małp do zrywania owoców z chwilą, gdy tylko dojrzały. Obecny dyrektor, z którym pan Skierski długo dziś rozmawiał, jest tamtemu poglądowi przeciwny, twierdząc, że zrywanie przynosi więcej szkody palmom i z tego powodu każe czekać, aż orzech dojrzały sam z drzewa spadnie.

C. d. n.

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada.

Kiedy latem w dni gorące
Trzecie wraz *z czwartą* przelecą po łące,
Wszystko co na niej kwitło, żyło,
Naraz się w *pierwszą—drugą* zamieniło —
I to właśnie co się stało —
Szaradę stanowi *całą*.
Byś zgadł łatwiej, powiem jeszcze,
Że nie znoszą, gdy mżą deszcze,
Wymagają, by do końca
Było tylko dużo słońca.

Rozwiązanie z numeru 27-go: *Dąb—rów—ka*
Rozwiązanie z numeru 28-go: *W—akacje.*